

John D. MacDonald

# Wspólny mianownik

(Common Denominator)

Galaxy Science Fiction, July 1951

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

## © Public Domain

This text is translation of the short story "Common Denominator" by John D. MacDonald, first publication in *Galaxy*, July 1951, published by Project Gutenberg, February 8, 2016 [EBook #51148]

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from *Galaxy Science Fiction*, July 1951. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed..."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

[http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB\\_kolekcja%22&sort=-publicdate](http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate)

**K**iedy Czterdziesta Grupa Zwiadowcza przemknęła przez z powrotem pół Galaktyki z kompletnym studium cywilizacji Klasy Siódmej na trzech planetach Argusa Dziesięć, Biuro Obrony Międzygwiazdnej miało, oczywiście, priorytetowy dostęp do wszystkich danych. Cywilizacje Klasy Siódmej były rzadkością i potencjalnie stanowiły poważne zagrożenie, tak więc cały personel Czterdziestej Grupy został umieszczony pod ścisłą kwarantanną na trzydzieści dni niezbędne do szczegółowej analizy tysięcy szpul filmu.

Wiadomości o kontakcie wyciekły jednak i zawodowi panikarze na ekranach wiadomości trzech ojczystych planet Sol, wieszczili najstraszniejsze rzeczy. Emerytowany admirał Marynarki Kosmicznej opublikował artykuł, w którym kwaśno stwierdzał, że flota znacznie osłabła przez prowadzoną w ciągu ostatnich dwudziestu lat politykę rozmiękczenia jej na wysokich stanowiskach.

Trzydziestego pierwszego dnia B.O.M. zameldowało Prezydentowi Układu, Mizemu, że mieszkańcy trzech planet Argusa 10 nie stanowią zagrożenia, nie ma żadnych militarnych powodów do podnoszenia alarmu, rekomenduje się zatwierdzenie traktatu handlowego, wszystkie dane zostały przekazane do analizy Biuru Międzygwiazdowego Handlu i Gospodarki, oraz że personel Czterdziestej Grupy Zwiadowczej dostaje sześćdziesiąt dni urlopu przez kolejnym przydziałem.

B.M.H.G. natychmiast wypuściło film dla wszystkich sieci komercyjnych i widmo śliniących się, oślizgłych potworów, zniknęło z wyobraźni ludzkości. Argonauci, jak ich ochrzczono, byli sympatycznie podobni do ludzi. Był to kolejny dowód na to, że na planetach naszej ojczystej Galaktyki tylko w bardzo rzadkich przypadkach, istoty żywe na najwyższym poziomie odbiegały poważnie od formy „ludzkiej”. Jednorodny charakter pierwiastków chemicznych, tworzących planety w całej Galaktyce, czyniła jednorodność najwyższych form życia niemal truizmem. Dwunogie, oddychające tlenem kręgowce, z przeciwnym kciukiem wydawały się być formą życia najlepiej przystosowaną do przetrwania.

Ewidentne było, że odpowiednio przeszkolony przeciętny Argonauta, mógłby w Układzie Słonecznym ujść niemal niezauważony. Kolor skóry mieli jasno różowy, jak u opalonego człowieka. Ich włosy na głowie były jednolicie beżowo-żółte. Byli nieco ciężsi i mocniej umięśnieni niż ludzie. Kobiety Argonautów miały wyraźnie rubensowski wygląd, ciepły, delikatny różowy, bezpieczny.

**W**szyscy wyrażali opinie o łagodności i zadowoleniu wyrazu twarzy, zgodnie ze ludzkimi standardami. Czyniono narzucające się porównania. Argonauci wyglądali jak rasa oberżystów i barmanów w ogródkach piwnych w Bawarskich Alpach. Gdyby dorzucić im skórzane krótkie

spodenki, po których mogliby się poklepywać, kufle z kamiennymi wieczkami, tyrolskie kapelusiki z piórkiem i wiejskie sukienki dla ich kobiet, mogliby reprezentować kulturę i sposób życia, które na Ziemi znikły już tak wiele pokoleń temu.

Osiem miesięcy po tym, jak sprawę przekazano do B.M.H.G., na Ziemię wróciła Pierwsza Misja Handlowa, przywożąc ze sobą oszałamiającą paletę artefaktów i urządzeń, a do tego okrągły tuzin Argonautów. Argonauci nauczyli się mówić po soliańsku z zabawnym gardłowym akcentem. Uśmiechali się życzliwie do każdego i w każdej sytuacji. Byli pupilkami opinii publicznej, aż do chwili kiedy nie minął efekt nowości. Rozpoczęto zyskowną wymianę handlową, ponieważ niemal wszystkie urządzenia Argonautów, wydawały się być przeznaczone do uprzyjemniania sobie życia. Kompozyt zapachowy zyskał ogromną popularność, kiedy tylko został przystosowany do gustów ludzi. Nosił się go jako guzik w klapie marynarki i mógł wytwarzać zapachy sosen, pieczonego steku, wiosennych kwiatów, szkockiej whisky, piżma – a nawet skunksa – dla dowcipnisiów, którzy istnieją we wszystkich czasach i epokach.

W każdym domu wyposażonym w argonautiański oczyszczacz elektrostatyczny, nigdy się nie kurzyło. Nie zużywał energii i wystarczyło go tylko raz do roku opróżnić.

Inżynierowie zmodyfikowali argonautiańskie mechaniczne zwierzęta do polowań tak, by wyglądały jak ziemskie króliki. Podobnie, broń emitującą nieszkodliwe promienie przerobiono tak, aby miała wygląd strzelby. Już po pierwszej próbie nowej formy polowania, myśliwi niemal tracili dech z podniecenia. Niewiarygodna zwinność mechanicznego zwierzęcia, jego umiejętności maskowania się, fakt że po trafieniu go promieniem, można było je wykorzystać ponownie, wielokrotnie – wszystko to przyczyniało się do popularyzacji bezkrwawych łowów.

**D**yrektor Biura Dojrzałości Rasowej, Lambert, czekał cierpliwie na swoją szansę dostępu do danych Argonautów. Ciasne biura w prowizorycznym skrzydle starego Gmachu Bezpieczeństwa Układu, kiepski budżet, przestarzałe wyposażenie, nieodpowiedni personel, wszystko to świadczyło nie tylko o niskim priorytecie Biura, ale także o braku wiedzy o jego istnieniu ze strony wielu oficjeli Układu. Lambert, rudawy mężczyzna o kanciastej twarzy i powolnych ruchach, był historykiem, antropologiem i socjologiem. Miał w sobie na tyle dużo realizmu by rozumieć, że gdyby Biuro Dojrzałości Rasowej było bardziej istotnym elementem w Rządzie Układowym, prawdopodobnie kierowałby nim ktoś z mniejszą liczbą tytułów akademickich, za to o większych kwalifikacjach politycznych.

A Lambert wiedział, bez żadnych wątpliwości, że B.D.R. było znacznie ważniejsze dla rasy i jej przyszłości, niż jakikolwiek inny dział administracji rządowej Układu.

Ustanowione przez prezydenta Tollesa, dojrzałego i świątłego administratora, Biuro obecnie było z wolna dławione przez stale malejący budżet.

Lambert zdawał sobie sprawę z tego, że ludzkość zaszła za daleko, za szybko. Człowiek zszedł z drzewa z wszystkimi swymi instynktami pierwotnymi, do darcia, szarpania, rozdzierania pazurami. Dwadzieścia tysięcy lat później i to po zaledwie paru tysiącach w wątpliwy sposób rejestrowanej historii, sięgnął do gwiazd. Było to zbyt szybko.

Lambert wiedział, że ludzkość aby przetrwać, musiała dojrzeć. Dominacja instynktu musiała zostać osłabiona i to szybko. Można było to osiągnąć dzięki selektywnemu rozmnażaniu, ale to rozwiązanie było niemożliwe do wymuszenia. Miał nadzieję, że pewnego dnia rejestry obcej cywilizacji pozwolą mu znaleźć odpowiedź. Po roku biurokratycznych przepychanek, podstępów i kontrpodstępów, uzyskał w końcu prawo dostępu do danych Grupy Zwiadowczej.

W miarę jak zapasy jego cierpliwości kurczyły się, pisał coraz mocniej brzmiące listy do Centralnych Archiwów i Gromadzenia Danych. W końcu, kiedy wreszcie zlokalizował dane niewłaściwie przechowywane w zamkniętych plikach B.M.H.G., nie chciał podejmować dalszego ryzyka. Udał się osobiście ze swym asystentem o nazwisku Cooper oraz sterowanym elektrycznym wózkiem towarowym, i nakłonił urzędnika zajmującego się magazynem B.M.H.G. do wydania za pokwitowaniem danych Argonautów. Chęć do współpracy urzędnika osłabiał fakt, że nigdy nawet nie słyszał o Biurze Dojrzałości Rasowej.

**A**kta zawierały słownik i opis gramatyki, zestawione przez Grupę Zwiadowczą, wszystkie filmy nakręcone na trzech planetach Argusa 10, oraz mikrofilmy dwunastu tysięcy książek napisanych w języku Argonautów. Ich język pisany miał charakter ideograficzny i dlatego jego nauka sprawiała trudności większe niż zwykle. Lambert wiedział, że dokonano odpowiednich tłumaczeń, ale gdzieś po drodze musiały one wyparować.

Zapędził więc do pracy nad językiem swój cały zespół. Zatrudnił dodatkowych lingwistów, oprócz własnej, dosyć szczupłej grupy. Zastopował całą działalność zewnętrzną, aby przyspieszyć postęp rozwoju posiadanej przez siebie wiedzy. Jego żona, szanując ogromny stopień zaangażowania Lamberta w wykonywaną przez niego pracę, zajęła się dodatkowo ich na wpół wyrosniętymi dziećmi, tak by mu nie przeszkadzały w czasie długich wieczorów w domu, poświęconych studiowaniu i tłumaczeniom.

Dwa wieczory w tygodniu Lambert poświęcał na spotkania z Vonkiem Pooglem, Argonautą przydzielonym do Zespołu Koordynacji Wymiany Handlowej, i polepszył swój mówiony argonaucki do poziomu umożliwiającego mu pozyskiwanie dodatkowej informacji historycznej o różowego, mocno zbudowanego „człowieka”.

Spośród dwunastu tysięcy książek, Lamberta szczególnie interesowało tylko sto dziesięć. Na ich podstawie oparł swoje najważniejsze wykresy. Za osobiste środki finansowe Lamberta, przygotowane zostały slajdy ilustrujące wykresy, i, po ich ukończeniu, zaczął zabiegać o spotkanie z Simpkinem, Sekretarzem Spraw Międzygwiazdnych, wykorzystując do tego wszelkie dostępne mu kanały. Poprosił o godzinę z czasu Simpkina. Zajęło mu to dwa tygodnie.

Simpkin był dużym, wyrazistym mężczyzną, o stalowo-siwych włosach, sceptycznie spoglądających oczach i tym nieokreślonym rysie politycznego oportunisty.

Obszedł dookoła swe ogromne biurko, aby ucisnąć rękę Lambertowi.

— Ach... Lambert! Cieszę się, że cię widzę, stary. Powinienem częściej spotykać się z szefami moich biur, ale wiesz przecież jaki tutaj mamy młyn.

— Wiem, panie Sekretarzu. Mam tu coś, sprawa najwyższej wagi i...

— Biuro Dojrzałości Rasowej, nieprawdaż? Nigdy jakoś nie miałem okazji się dowiedzieć, czym wy tam się zajmujecie. Jakież rejestry postępu cywilizacyjnego, czy coś takiego?

— Sprawa najwyższej wagi — powtórzył nieustępliwie Lambert.

Simpkin uśmiechnął się lekko.

— Te słowa słyszę nieustannie, przez cały dzień, ale proszę mówić dalej.

— Chciałbym pokazać panu pewne wykresy. Wykresy rozwoju historycznego cywilizacji Argonautów. — Lambert ustawił rzutnik i włączył go. Skierował obraz na ścienny ekran.

— **Z**decydowano już — stanowczo oznajmił Simpkin, — że Argonauci nie stanowią dla nas zagrożenia pod żadnym...

— Wiem, proszę pana. Proszę najpierw spojrzeć na wykresy, a kiedy pan je obejrzy, myślę że zrozumie pan o co mi chodzi.

— Proszę kontynuować — Simpkin zgodził się z rezygnacją.

— Nie chciałbym aby ktoś zarzucił mi brak porównywalności. Proszę popatrzeć na samą konstrukcję wykresów. Oś jest wyskalowana w latach, przeliczonych do naszego kalendarza, tak abyśmy mieli porównanie. Ich spisana historia pokrywa okres dwunastu tysięcy lat. To ponad cztery razy dłużej niż nasza. A teraz niech pan spojrzy na tę czerwoną linię. Pokazuje ona odsetek ich ludności zaangażowanej w wojny. Szczyt przypada osiem tysięcy lat temu. Proszę zauważyć jak gwałtownie spada ona po tym przesileniu. W ciągu pięciuset lat opada do samej osi, i już się więcej nie pojawia.

— A tutaj mamy drugą linię. Zbrodnie i przemoc. Jej szczyt przypada również osiem tysięcy lat temu. Ta linia opada w nieco mniejszym tempie niż linia wojny i nigdy tak do końca nie osiąga wartości zerowej. Przestępcy ciągle u nich się zdarzają. Ale jest to bardzo niewielki odsetek liczby ludności, w porównaniu to tego z czym mamy do czynienia u nas, albo u nich w przeszłości. Trzecia linia, ta żółta, szybko rosnąca, to z kolei

indeks chorób umysłowych. I znów mamy szczyt mniej więcej w tym samym okresie ich historii. A potem spadek niemalże do samej osi.

**S**impkin zmarszczył swe pełne wargi.

— To dosyć dziwne, nieprawdaż?

— A teraz czwarta linia na wykresach, która wymaga pewnych wyjaśnień. Porównałem stopy śmiertelności w wybranych grupach wiekowych. Generalnie, długość ich życia wynosi 1,3 długości naszego, co trzeba było uwzględnić i dokonać odpowiednich korekt. Przyjrzałem się potem grupie wiekowej odpowiadającej u nas przedziałowi od 18 do 24 lat. To jest ta zielona linia. Proszę spojrzeć, w okresie, kiedy zaczynamy otrzymywać wiarygodne liczby, mniej więcej dziewięć tysięcy lat temu, jest ona niemal stała, na poziomie odpowiadającym naszym własnym doświadczeniom. A teraz niech pan zauważy, co się dzieje, kiedy wykres zielonej linii dociera do punktu osiem tysięcy lat temu. Widzi pan jak raptownie zaczyna rosnać? Coraz szybciej, niemal pionowo. Stopa śmiertelności w tej grupie pozostaje na wysokim poziomie przez niemal tysiąc lat, znacznie wykraczając poza czas zakończenia okresu ich wojen, i dopiero potem powoli opada w kierunku osi, wyrównując się do stałego poziomu jakieś dwa tysiące lat temu.

Lambert pstryknął wyłącznikiem rzutnika.

— Czy to wszystko? — spytał Simpkin.

— A czy to panu nie wystarczy? Martwi mnie przyszłość naszej rasy. W jakiś sposób Argonauci znaleźli rozwiązanie problemu wojen, obłądę, przemocy. Potrzebujemy tego rozwiązania, jeśli mamy przetrwać.

— Proszę mówić dalej, Lambert — zachęcił go zmęczonym głosem Simpkin.

— Czy pan tego nie rozumie? Ich historia przebiegała analogicznie do naszej. Mieli te same problemy. Dostrzegli stojącą przed nimi katastrofę i udało im się coś z tym zrobić. Co zrobili? Muszę się tego dowiedzieć.

— Czego pan ode mnie oczekuje?

— Chcę otrzymać delegację, żeby tam polecieć.

— Niestety, to jest absolutnie niemożliwe. Lambert, nie mamy funduszy na pokrycie takiej przejażdżki. I wydaje mi się, że zamartwia się pan zupełnie niczym.

— Czy mam panu pokazać nasze najważniejsze trendy? Czy mam panu pokazać jak morderstwo staje się z najstraszniejszej zbrodni względnie powszechnym czynem? Czy mam panu pokazać powolny ale niezachwiany wzrost liczby pacjentów w szpitalach psychiatrycznych?

— Człowieku, ja to wszystko wiem. Ale popatrz tylko na Argonautów! Czy naprawdę chciałbyś u nas podobnej stagnacji? Chciałbyś, byśmy się stali rasą tłustych, różowych, sennyh...

— Może nie mieli wyboru. Albo gatunek w stagnacji, albo koniec ich rasy. Panie sekretarzu, gdyby pan stanął przed podobnym dylematem, co by pan wybrał?

— Nie mamy pieniędzy.

— Potrzebna mi tylko pańska zgoda. Zapłacę na własną rękę.  
I tak się stało.

**O**jczyzna planeta Argonautów nazywała się Rean i była trzecią planetą od ich słońca. Kiedy statek handlowy w jednym mgnieniu oka pojawił się w trójwymiarowej przestrzeni, dziesięć tysięcy mil ponad powierzchnią Rean, Lambert przeciągnął się, rozprostowując swe długie kości i mięśnie cierpiące od bólu kosmicznego, i uśmiechnął się do Vonka Poogli.

— Wiesz, że mógłbyś oszczędzić mi tej podróży — powiedział Lambert.

Szeroki uśmiech wykrzywił okrągłe, różowe oblicze.

— Ktoś nie ryzykuje nic nie zyskuje. Poza tym tylko mój kuzyn może ci opowiedzieć o tym co cię intryguje. Mój kuzyn to bardzo ważna osobistość. To właśnie on wybrał mnie, abym poleciał na waszą planetę.

Vonk Poogla wręcz tryskał ochotą, aby pokazać Lambertowi cuda pradawnej stolicy. Została ona złupiona i spalona ponad osiem tysięcy ziemskich lat temu, a potem cieszyła się osiemdziesięcioma trzema wiekami niezakłóconego pokoju. Miasto spoczywało w pastelowym zmroku, na jego szerokich ulicach wszędzie pełno było śmiechu i spokojnych śpiewów. Nigdy jeszcze Lambert nie czuł tak ciepłej atmosfery bezpieczeństwa i... miłości. Żadne inne słowo, poza tym najdalej idącym, nie wydawało się tu właściwe.

Rankiem udali się do przysadzistego budynku, w którym Vonk Soobuknoora, wspomniana ważna osobistość, miał swoją centralę administracyjną. Lambert na tyle dobrze orientował się w strukturze rządowej Argonautów, aby wiedzieć, że Soobuknoora był tytularną głową rządu trzech planet. Nie mógł się powstrzymać przed porównaniem tutejszego kompletnego braku protokołu z tym, czego można było się spodziewać, gdyby spróbował zabrać Vonka Poogłę na rozmowę z prezydentem Mize.

Soobuknoora był mniejszą, starszą wersją Poogli, jego różowa twarz była pełna zmarszczek, zieleniejące włosy zachowały jedynie ślady oryginalnej żółci. Soobuknoora nie znał soliańskiego i z zadowoleniem przyjął fakt, że Lambert mówi po argoniańsku.

Soobuknoora przyglądał się animowanym wykresom z wyraźnym zainteresowaniem. Po zakończeniu prezentacji, wydawało się, że zatopił się w swych myślach.

— To jest dla nas tak prywatna sprawa, Człowieku Lambert, że rzadko o tym rozmawiamy nawet między sobą — wyjaśnił po argoniańsku Soobuknoora. — Nigdzie tego nie zapisano. Być może trapi nas wstyd – poczucie winy. Trudno o tym mówić. Zdecydowałem się jednak wszystko panu wyjaśnić i opowiedzieć o tym, co miało miejsce u nas osiem tysięcy lat temu.

— Byłbym bardzo zobowiązany.

— **N**asze życie jest pełne zadowolenia. Być może to dobrze, być może nie tak bardzo. Ale nadal żyjemy. Z czego wynikały nasze problemy w dawnych czasach, kiedy byliśmy tak podobni do waszej rasy? Kiedyś, gdy byliśmy zuchwali, młodzi i straszliwie okrutni? Z indywidualności, tych kół napędowych cywilizacji, ludzi, którzy usiłowali odnieść sukces wbrew wszelkim przeszkodom. To oni malowali obrazy, pisali muzykę, zabijali się nawzajem, siali niepokój, wywoływali wojny. Wyrośliśmy z oszłamiającej bujności naszej przeszłości.

Westchnął.

— Na tym polegał nasz problem. Aby zrozumieć jego rozwiązanie, Człowieku Lambert, niech pan pomyśli o pewnej analogii. Proszę pomyśleć o fabryce, w której wytwarzane są maszyny. Nazwijmy dalej maszyny akceptowalne stabilnymi, a nieakceptowalne niestabilnymi. Ich elementem jest koło zamachowe, które musi się obracać z pewną szybkością. Jeśli przekracza tę szybkość, to niedobrze. Ponadto przyjmijmy, że maszyna, która jest stabilna, w każdej chwili może stać się niestabilna. Jakie jest rozwiązanie? — Uśmiechnął się do Lamberta.

— **C**zuję się trochę zbity z tropu — wyznał Lambert. — Należałoby nieustannie krążyć i sprawdzać maszyny pod kątem ich stabilności?

— Przy pomocy miernika? Nie. Za dużo kłopotów. Niestabilna maszyna może spowodować zniszczenia. A więc, zrobiliśmy tak – wstawiliśmy do każdej maszyny niewielkiego zarządcę. Kiedy szybkość przekracza znacznik bezpieczeństwa, maszyna przerywa swe funkcjonowanie.

— Ależ, Vonk Soobuknoora, to tylko analogia! — zaprotestował Lambert. — Nie można wstawić zarządcy człowiekowi!

— Człowiek rodzi się już z zarządcą, Człowieku Lambert. Niech pan popatrzy na czasy w obu naszych historiach, kiedy nie wznieśliśmy się jeszcze zbyt wysoko ponad poziom zwierzęcia. Niezrównoważony człowiek ginął. Nie był w stanie konkurować o żywność. Nie potrafił zorganizować najprostszych elementów swojego życia, aby przetrwać. Człowieku Lambert, czy kiedykolwiek miał pan choćby przelotne myśli, na temat samobójstwa?

Lambert uśmiechnął się lekko.

— Oczywiście. Tego rodzaju myśli w przypadku istot inteligentnych, moglibyśmy określić nawet jako normę.

— Czy kiedykolwiek zaszedł pan aż tak daleko, by zastanawiać się nad metodą, bronią?

Lambert skinął powoli głową.

— Trudno to tak na poczekaniu sobie przypomnieć, ale sądzę że tak. Tak, kiedyś o tym myślałem.

— A co by się stało — miękko głosem zapytał Argonauta, — gdyby w takiej chwili miał pan pod ręką zupełnie bezbolesną i absolutnie pewną broń?

**L**ambert poczuł suchość w ustach.

— Pewnie bym z niej skorzystał. Byłem wtedy bardzo młody. Proszę poczekać! Zaczynam rozumieć o co panu chodzi, ale...

— Zarządca musi być wbudowany w ciało — przerwał mu Soobuknoora, — a ponadto tak zaprojektowany, aby nie było możliwości przypadkowej jego aktywacji. Przypuśćmy, że pewnego dnia zacząłbym sobie myśleć jak wielki i potężny jestem, na piastowanym przeze mnie stanowisku. Poczuję ogromne pragnienie stania się jeszcze bardziej potężnym. Zaczęłbym rozumować emocjonalnie. I wkrótce napotkałbym przeszkody. Wpadłbym w depresję. Można by nawet powiedzieć, że stałbym się niezrównoważony. Byłbym ogromnym zagrożeniem dla siebie samego i całej naszej cywilizacji.

— W chwili depresji, wziąłbym dwa małe palce u dłoni. Wyciągnąłbym ręce za siebie i nacisnąłbym obydwoma palcami mocno ściśniętymi razem, w miejsce pośrodku pleców. Aktywowana by została mała kapsułka, umieszczona u podstawy mojego mózgu i byłbym martwy już po jednej tysięcznej sekundy. Tak samo w przypadku Vonka Poogli. W przypadku każdego z nas. Przejściowa skłonność do samodestrukcji, wydaje się być wspólnym mianownikiem dla wszelkiego rodzaju niezrównoważenia. Wyrwaliśmy naszą rasę spod wpływu neurotyków, egocentryków, ludzi przeczulonych na swoim punkcie, po prostu czyniąc samodestrukcję czymś bardzo, bardzo łatwym.

— A więc to dlatego, stopa śmiertelności...

— Operacja wykonywana jest w wieku osiemnastu lat. To bardzo szybki i bardzo prosty zabieg. Mieliśmy przed oczyma widmo zagłady. Musieliśmy stawić mu czoła. Na początku, śmiertelność była przerażająca, było tak wiele zgonów. Ale stabilni ludzie przetrwali, reprodukowali się, rozmnażali. W następnym pokoleniu odszedł już mniejszy, chociaż ciągle duży odsetek populacji – i tak dalej, aż do chwili, kiedy dzisiaj stopa śmiertelności jest już niemal statyczna.

Lambert zawołał gorąco po argoniańsku.

— Och, to brzmi tak dobrze! Tylko co z dziećmi? Jaka pozbawiona serca, nieczuła rasa mogłaby zasiać ziarno śmierci w swoich własnych dzieciach?

**N**igdy jeszcze nie widział na twarzy żadnego Argonauty najmniejszego śladu gniewu. Tym razem widać było, że jedno z nozdrzy Soobuknoory rozszerzyło się, a gdyby pochodził z Ziemi, pewnie wybuchnął by z furją.

— Człowieku Lambert, są tu również inne wybory. Nasze dzieci nie muszą bać się spalenia na popiół, rozsądzenia na drobne kawałeczki. Wolne są od tego rodzaju koszmarów. Czyja miłość jest lepsza, Człowieku Lambert?

— Mam dwójkę dzieci. Nie zniósłbym myśli o...

— Proszę poczekać! — wtrącił Soobuknoora. — Niech pan chwilę pomyśli. Przypuśćmy, że wie pan, iż kiedy osiągną wiek osiemnastu lat,

pańskie dzieci zostaną zoperowane przy pomocy naszych metod. Jak by to wpłynęło na obecny stosunek pana do nich?

Lambert był, pomimo wszystko, realistą. Pomyślał o tych wszystkich dniach, kiedy był „za bardzo zajęty” dla dzieci, o zbywaniu ich bardzo poważnych pytań, żartami, albo lakonicznymi unikami, o bawieniu się z nimi, jakby były młodymi, bardzo miłymi, puszystymi zwierzątkami.

— Pewnie starałbym się być lepszym ojcem — przyznał Lambert. — Próbowałbym przekazać im na tyle dużo stabilności emocjonalnej, aby nigdy nie poczuły ochoty do tego by się zabić. Ale Ann jest delikatna, kapryśna, nieprzewidywalna, to artystyczna dusza.

Poogla i Soobuknoora pokiwali głowami w zgodnym rytmie.

— Pewnie straciłby pan ją, być może nawet straciłby pan oboje — zgodził się Soobuknoora. — Ale lepiej jest stracić ponad połowę dzieci z kilku pokoleń, niż doprowadzić do zagłady rasy.

Lambert pomyślał jeszcze trochę. W końcu powiedział:

— Wracam do nas i przekażę informacje o waszym planie, oraz jak on zadziałał w waszym przypadku. Ale nie wydaje mi się, aby mojej rasie to się spodobało. Nie chciałbym obrazić was, ani waszych rodaków, ale wpadliście w stagnację. Pomimo upływu czasu kompletnie stanęliście.

Vonk Poogla roześmiał się wesoło.

— Nie ma mowy! — oznajmił radośnie. — Od przyszłego roku przestajemy wykonywać te operacje. Przestajemy na dobre. Te osiem tysięcy lat było nam po prostu potrzebne, aby złapać oddech, zanim sprawy będą mogły iść dalej w bardziej bezpieczny sposób. A cóż znaczy osiem tysięcy lat, w historii całej rasy? Nic, mój drogi. Nic!

Kiedy Lambert wrócił na Ziemię, naturalnie, zrezygnował ze swojej pracy.

KONIEC